

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok X.

Warszawa, dnia 9 marca 1918 roku.

№ 10.

ZOFJA R. NAŁKOWSKA

ROMANS NOWOCZESNY.

XIII.

HRABIA EMIL.

10

Nie miała łatwej, żartobliwej zaletności światowych kobiet, nie mówiła tego mnóstwa słów obiecujących, które nic nie znaczą, nie uśmiechała się ciągnąco. Była poważna i chłodna zawsze. Więc jej słowa mogły być brane *à la lettre*, każde coś znaczyło.

Zato nic nie znaczyło jej patrzenie. Miała oczy nieumyślnie słodkie, słodkie fizycznie — tylko dzięki takiemu układowi barwy i linii. I tak właśnie patrzyły się na wszystko. Emil znał je już teraz bliżej. Były szczupłe, ciasno oprawne, dość wydłużone — w brązowych rzesach irysy złotawe, prawie żółte, przeświecające głęboko. I lekki zaledwie odcień zaróżowienia na brzegach powiek, które, przy uniesieniu wgórę brwi cienkich, mieniły się bladym fioletem i połyskiem konchy.

Inne kobiety tak łatwo, tak nawet ładnie mówią o sobie. Ona nie chciała.

Gdy się przybliżał i mówił więcej, z tą bezsilnością i zmatowaniem, które zdradzają uczucie, nie była nigdy zdziwiona ani urażona. Była zupełnie zwykła, jakby tego nie widziała, jakby nie czuła nic. Miłość jego rozbiła się nie o opór, tylko o niewiedzę.

— Czy wolno jutro przyjść? — pytał.

— Tak proszę.

— Pan jest dla mnie bardzo dobra.

Na to nie odpowiedziała już nic.

— Jestem szczęśliwy, mogąc być pani przyjacielem.

Wziął ją za rękę, nie wstając: niechaj wie, że to wcale nie jest na pożegnanie. Niechaj nareszcie wie. Wziął tę rękę na poręcz swego fotelu, gładził z największą troskliwością, z drżeniem serca. Później ucałował i przytulił się do niej zamkniętymi oczami.

Gdy podniósł głowę, ujrzał ten jedyny na jej twarzy znak wzruszenia: blady rumieniec. Oczy miała odwrócone i lekki smutek na ustach.

To nie jest gniew, to przecież nie jest obojętność, — marzył.

Chciał wziąć jej głowę w obie ręce, przechylić i popatrzeć zblizka w oczy jej patrzące — i może ustami zakochanemu delikatnie ucałować raz — powieki.

I pomyślał: — jeszcze nie teraz, nie dziś. Bał się tego, co czuł. Takie było głębokie i bolesne.

Odszedł, jak zawsze, odszedł, by ciągle o niej myśleć. Pamięcią oczów widział nanowo cały jej kształt, ruchy postaci, spojrzenie szlachetne i słodkie. Pamiętał dotknięcie ręki jej na powiekach zamkniętych, ręki szczupłej, a takiej miękiej i cieplej. Pamiętał jej strój z brązowej gazy i haftu, brązowej, jak jej oczy i jej włosy — tak, że była cała jakby przesypana złotawo-brunatnym pyłem wnętrza kwiatów.

Gdybyż uczyniła jeden kiedyś pierwszy, gdyby uśmiechnęła się sama. Gdyby dała jakiś najlżejszy znak, po którym poznał się choćby możliwość najdalszą uczucia.

I widział ją jeszcze raz.

Wracali ciemnym wieczorem z pieszej wycieczki nadmorskiej. Ponad drzewami płonęły zrzadka ciche banie elektryczne, rozświetlające kilka przy sobie liści i sferę mlecznego powietrza. Oni szli ciemnością pod drzewami. — Cudna droga we dwoje, od której Emilowi zamierało serce.

Szedł blisko Djany, nie śmiać wziąć jej pod rękę. Myśl z troską powracała do jej odjazdu. Dowiedział się, że tak lubi to miasto z niczem nieporównane, piękną Florencję. Co roku stara się tam być, choćby przez jeden miesiąc. Ach, w słoneczny dzień jeździć konim i z lornetką po Viale dei Colli. Pewno już niema piękniejszego na ziemi miejsca.

Emil milczał, udęcony, że ona to mówi, właśnie to. Te słowa wrzucił niedbale i pobieżnie w jego mękę.

— Przecież jednak najbardziej lubię Anglię, — dodała chłodniej, — Nigdzie indziej nie mogłabym mieszkać stale.

Odkrył teraz, że już myślał był o niej, jako będącej w Kluwieńcach, więc, że myślał o — zabranii jej ze sobą — tam. Co za myśl, co za myśl! Ależ tak. Marzył już: zabrana tam, jak cichy, zamorski ptak. Małą głowę, twarzyczkę bladą przykładalaby do ram okna, jak do pretów klatki.

I zaczął mówić dziwnie szczerze; — cudzoziemka dla mnie, cudzoziemka w moim życiu.

— Jest pani przeciwko mnie otoczona swoim krajem, jak zbroją.

— Ja tego nie uczuвам, — odrzekła poważnie. — Ludzie są bardziej podobni, niż niepodobni. Więcej jest rzeczy podobnych...

Usiłowała nadać formę tej myśli.

— Każdy ma oczy i usta, serce, spojrzenie...

Emil podniósł w ciemności rękę i objął ramiona Djany. Nie wiedział, czemu, ale nie mógł inaczej. Objął wysoko, zaraz poniżej karku. Drżał z nieśmiałości i zachwytu. Głębokie wzruszenie odbierało mu oddech.

Djana zatrzymała się, nie odsuwając wcale jego ręki. Nie szła dalej, nie mogła iść. Emil przyciągnął ją bliżej. Zachwiała się lekko, dotknęła go na chwilę całą swą postacią.

Mógł ją objąć zupełnie. Mógł — usta jej milczące były blisko. Nie uczynił tego.

Gdy znajdowali się już niedaleko jej hotelu, spytała:

— Czy pan kocha kogo?

Nie oczekiwał zapytania, więc odparł zaskoczony.

— Nie nikogo.

— Tak?

Po chwili milczenia wyznał:

— Nie powiedziałem prawdy. Kocham.

Wtedy ona rzekła spokojnie:

— Niekoniecznie trzeba mówić prawdę.

Stali przed kratą, opasującą niewielki park hotelowy. Djana trzymała palec na dzwonku.

— Co to znaczyło? — spytał cicho, tonem prośby.

Już nie odpowiedziała. Rozbłysło światło, drzwi się otwały. Djana podała mu rękę, którą ucałował na pożegnanie, nisko schylając głowę.

Gdy następnego dnia Emil zjawił się w hotelu, nie było już Djany. Powiedziano mu nieskwapliwie, że wraz z lordem Villoughby, który przyjechał, przeniosła się gdzieś indziej. Zapytał powtórnie o adres nowego hotelu i odszedł.

Nie wierzył, aby doznanie nie-szczęścia było tak rozległe. Cóż uczynił, ach, coż uczynił? Wszystko jego tylko była wina. Wypuścił z rąk szczęście, które może nawet nie chciało odlecieć. Otworzył dłonie, gdy siedział już w nich ten cudny, rajski ptak. Pozwolił mu odejść, sam pozwolił, aby mu go zabrano.

Odszedł krokiem zwyczajnym z tego samego miejsca, gdzie ją przed kilku godzinami widział ostatni raz, jako tamtą. Świat był niezmierny, poza morzami, poza gwiazdami wdał trwający. I zamknął się za nią, utracił, zamknął się cały, zwał. I nie-ma do niej drogi.

Emil wiedział, że już niema drogi. Mógł napisać do niej, marzył o tem. Obmyślał sposób sekretny jak przesłać zapytanie. Ale na zapytanie było zapóźno, na wszystko było zapóźno.

Powinna była dowiedzieć się o jego miłości przedtem, przedtem. Powinna była ogrodzić się jego miło-

ścią. I nie wiedziała nic. Była bez-bronna. Emil w myśli swojej nie miał żadnej nazwy na to morze męki.

Jakże był śmiały w stosunku do wszystkich kobiet, których nie kochał. Brak odwagi nie zaszkodził mu nigdy w błahych przygodach, w dobrych fortunach. Tylko cenne rzeczy umiał psuć, tylko najcenniejsze.

W dwa dni później Emil poszedł wieczorem do klubu i tam w towarzystwie pana Marka i księcia Jahniatyńskiego poznał lorda Villoughby. Z przykrością największą i zdumieniem wygrał od niego tysiąc paręset franków.

Przez ten krótki wieczór przejrzał tego człowieka, odczytał go całego, do dna. Z gardłem ściśniętym, z oczyma płonącymi od tajemnych łez, nateżał do ostatnich granic uwagę, wznosił baczność, aby odgadnąć swój los.

Lord Villoughby był to człowiek niewielki, suchy, już siwy, z twarzą szczupłą i czerwoną, z szarą oczami i zbyt długą szczęką, człowiek mocny, pewny siebie, ambitny, człowiek *mogący być kochany*. Nie kolekcjonował nic, nie miał stajni ani psów, grał bez chęci szczególnej. Nie miał namiętności poza ambicją. Przywykł do władzy, do wpływu wywieranego — to było w tonie jego nie-podniesionego głosu, w zwężności powiedzeń. Emil już wiedział, że jedyną słabością jego była Djana. Ta kobieta była niezbędna, aby on mógł być silny.

Nazajutrz Emil zobaczył ich — razem. Wymienienie z nimi ukłonu wydało mu się czemś poniżającym, czemś przeciwnym naturze.

Pozatem cała sprawa była nie-jasną towarzysko. Villoughby zdawał się nie wiedzieć, lub może nie chciał wiedzieć, że Emil jest znajomym jego żony. Djana poprostu mogła być nie powiedzieć mu o tem — nie aby zataić, ale że wogóle nic prawie nie mówiła.

Tym razem Emil szedł w towarzystwie matki i Anieli, miał więc ułatwione zadanie. Przerzuwając jednak swe wizyty, nie podchodząc przy spotkaniu, nie mówiąc doń o żonie, biernym sposobem popełniał przecież niedyskreję. Ale nie mógł inaczej.

— To jest piękna kobieta, — powiedział Aniela, gdy ich minęli.

Emil uczuł dla niej tklivość, wdzięczność niewymowną. Odpowiedział: — tak, istotnie jest ładna — i zaraz dodał coś także o zaletach pana Villoughby. Ale to jedno słowo Anieli rzuciło na niego czar, jakby echo szczęścia.

Ach, móż mówić o niej, móż tylko z kimś na świecie mówić o niej...

W tym, jak się zdaje, celu przyjechał właśnie o tym czasie Jakób Fane. Przyjechał zresztą z Maud.

Emil uradował mu się, jak komuś najbliższemu. Teraz podobieństwa i powinowactwa z Jakóbem nie raziły go, ale pocieszały.

Powiedział Jakóbowi prawdę, zresztą swoją tylko prawdę. To, co mógł roić o stosunku Djany do niego, zataił oczywiście. Zataił to jednak tak dobrze, że sam przestał w cokolwiek wierzyć. Ach, coż że dała się objąć, że dała całować swoją rękę. Może to było tylko zalęknienie kobiety nieśmiałej i niezmysłowej. Dlaczegożby to miała być tajona miłość?

Wracał po sto razy do ostatniej rozmowy, do ostatniego jej pytania. Coż to znaczyło, coż to znaczyło? I powtarzał cicho ustami: *czy pan kocha kogo?*

Księżę Jahniatyński zapoznał Villoughbych ze swą rodziną. Jednego rana Ada powiedziała do Emila:

— *Votre belle* będzie dziś u nas z rewizytą.

Emil zaraz po śniadaniu wybrał się z Fanem i jego towarzystwem na morze. „Nie chcę jej widzieć, nie chcę jej widzieć“, myślał z uporem.

Płynęli szybko na łodzi, turkającej motorem i mknącej równo, jak po szynach. W słońcu, wszyscy białą ubrani, siedzieli: melancholijny Jakób, mądry i wyrozumiały Ephraïm, dystygnowana, ładna Maud i jeszcze ładniejsza Miane, jej przyjaciółka, którą gruby książę Jahniatyński przywiózł ze sobą i osadził w osobnej, uroczej willi nad morzem. Mielł w tym komplecie zjeść wesół obiad w sąsiednim mieście i wrócić już w nocy drogą lądową.

Obiad pomimo wszystko okazał się istotnie wesół, zresztą tylko dzięki temu, że owe delikatne i grzeczne napozór dziewczęta umiały się nagle o jakiejś chwili stać ordynarne i cyniczne, co zawsze było nanowo niespodziane, a przez to zabawne. Emil też śmiał się z niemi, tylko mówił powolniej, niż zwykle, i niższym głosem.

Gdy znalazł się sam, przestał rozumieć, poprostu nagle zapomniał, dlaczego uniknął widzenia Djany. Wydało mu się to jakąś nową zbrodnią, rzeczą straszną.

Móż siedzieć przez chwilę na tym samym, co ona tarasie, móż podnieść na nią oczy, nawet nie zamieniając słowa... Jaka to siła wroga odpędzała go od niej coraz dalej i dalej, jakaż to była konieczność, aby właśnie cierpieć jaknajwięcej?...

Dalszy ciąg nastąpi.

PODŁOTEK.

NOWELA.

V.

... Panna Marysia siedziała w jasny i pogodny dzień sierpniowy na ganku i filozofowała zawzięcie. Porzuconą już dawno na balustradę robotkę ręczną — zdążył drobny pajacek zużyć na rusztowanie dla maleńkiej siateczki. Rozparł się teraz na jej środku i czekał cierpliwie na bujające się w słońcu komary i jednodniówki... Panna Jasieńska nie zauważyła tej owadziej psoty. Rozmyślała snadź aż nazbyt głęboko.

— Niemądry był, kto pierwszy klepsydrę, czy zegar wymyślił. Zdawało mu się, że dnie i godziny równo dzieląc, odkrył wielką prawdę. A tymczasem pomylił się okropnie. Godzina nie jest równą godzinie, tak, jak dzień letni nie jest równy zimowemu. Są godziny krótkie, jak minuty, których nawet pamięć nie zapisze — a są znowu inne tak długie, jak całe tygodnie i miesiące, w których się je wciąż jeszcze żywo i wiernie wspomina...

... Panna Marysia o takich właśnie godzinach rozmyśla. Od ich upływu nie zdarzyło się właściwie nic — ale to zupełnie nic. Wojna dalej się toczy, ale cóż z tego, kiedy dowiaduje się tylko o niej z pism i książek, które mogłyby równie dobrze opisywać walki i bitwy z przed stu laty — ale nie te obecne. Skoro ona sama w nich udziału nie bierze — to tak jakby ich wcale nie było. Nawet przejściowe kwatery polskich ułanów przeniesiono zaraz gdzieindziej i kontakt z wojskiem się zerwał.

Przez tych kilka miesięcy wrażeń silniejszych — bardziej osobistych — brakowało z kretelem. Były trzy rekwiizycje koni, ale jej wierzchówkę dało się z nich uratować; przeszedł raz krótki grad przez Jasieniów, zrobił szkody na kilkadziesiąt rubli — ale dla niej — dzięki Bogu — ruble na świecie nie istnieją. Założono szkołę we wsi — to prawda — miała trochę zajęcia i kłopotu z jej urządzeniem, ale później zawodowa i doświadczona nauczycielka wzięła jej kierownictwo w swoje ręce — i dla panny amatorki — miejsca już nie było. Gdyby to był wyższy jaki zakład — to mogłaby się podjąć w nim stałych wykładów... naprzykład z historii sztuki... ale uczyć początków czytania i pisania... to pociągającym nie było, a

nawet nieroztropnem. Nie umiała tego robić poprostu...

Czyż więc tych kilka miesięcy nie dałoby się zamknąć w jednym kłoszu klepsydry, z którego piasek przesypałby się — w godzinę — w jedną godzinę pobytu ułanów?!!

Lecz prawda, przecie nagły wyjazd pana Zaremby zrobił na niej trochę silniejsze wrażenie. Że też o tem mogła w swych rozmyślaniach zapomnieć. Zły to znak dla pana Michała! Przypomina sobie teraz dobrane zdziwienie, nawet irytacji trochę... wymówki rodziców... na wiadomość o wstąpieniu pana Michała do Legionów. Ale też papcik tego dnia rozgniewał się poważnie! — Narwany chłopak! źle mu to było?! żeby sobie chce wybić! i dla kogo i za co?! wołał wówczas niskim basem pan Karol. Teraz już mówił by inaczej! — A matka mu wtórowała. — Widzisz Lolusiu, że miałam rację! Z tej wizyty zabijaków nic dobrego wyniknąć nie mogło — przeczuwałam to od samego ich wstępu w nasze progi — zaraz wówczas mówiłam...

Panna Marysia próbuje jeszcze sobie w myśli odtworzyć swoje własne uczucia pod wrażeniem tej niespodziewanej wieści. Trochę była dumna z tego, że to dla niej ktoś głowę do reszty postradał, trochę złą na pana Zarembe, że chce innych — i to bardzo innych udawać, trochę mroczna, że ten... rak na bezrybiu — odjechał, a teraz nawet niema przed kim zimną i obojętną na wszystko udawać... Na sukniach pan Michał znał się tyle, co wół — na szydełkowej robotce, ale przecie i on czasem dojrzał jakąś zmianę w toalecie; bał się o to zapytać, czy to nowa suknia, czy stara, ale po sposobie patrzenia się wiedziało się przynajmniej, że jeden wygląd z drugim porównywalny. Teraz nawet tej milczącej i najbardziej pierwotnej oceny z zakresu modniarstwa — ubyło. Mogłaby się ubrać w drelichy i mało ktoby się spostrzegł...

... Że też owego wieczoru miała tylko tę białą bluzkę na sobie i to ma rękawach trochę przybrudną! W tej jedwabnej granatowej wyglądałaby znacznie poważniej... bardziej „na wydaniu“ albo w tej różowej (fraise ecrasai) z wykładanym kołnierzem bardziej po wielkomijsku... A tak, to zaprezentowała się, jak zwykła wie-

ska panna. Może dlatego porucznik Oskierka okazał się takim zmiennym w strzelistości spojrzeń.

— Jak! on tam jest naprawdę — to Bóg raczy wiedzieć: przez cztery godziny rozmowy — i to w trzech czwartych z panną Lucią przegadanych — poznać go było nie sposób. Paryżanka opowiadała jej — coby potem, że jest bardzo wykształcony i inteligentny, ale jakie ma gusta i czy zna się na strojach, tego się widać od niego nie zdążyła dowiedzieć... Zresztą jest obojętne. Na „coup de foudre“ rady niema, a sentyment dla tego obcego oficera strzelił w nią jak piorun — i to z grudniowego nieba. Strasznie się jej ten młody chłopak podobał...! Słusznie ponoć ta babka do swych wnuczek ongiś mówiła:

— Łatwo wam panny o spokojnych sentymentach mówić, boście ułanów polskich nie znały...

... Takie to myśli chodziły pannie Marysi po główce i długo w niej się plątały, z czego drobny pajacek siedzący na siatce mógł się tylko radować, bo polowanie na drobnego zwierzka było przez ten czas niczem niezmacone.....

Turkot wjeżdżającej na dziedziniec bryczki przerwał zniecierliwym rozmyślanie dziewczęce.

Panna Marysia spoglądała i oczom własnym nie wierzyła; z bryczki salutują już z dala — polscy legioniści.

Czyby to był on?

— Hop! Hop! Hurra! — wołał głos pana Zaremby. On sam powozi, ale jakieś panny siedzą na bryczce i jeszcze jeden oficer!

Ach! to siostry Załęskie, najbliższe sąsiadki Czyżewa, a ten drugi — wszak to rotmistrz Ostrowski, ale gdzie on? — jego niema!

Zajeżdżał wózek przed ganek, głośne powitania i śmiechy.

— Marysiu! — wołają naraz obie panny. „Porwali nas ułani“. Jedziemy kuligiem“.

— Mama w powozie za nami. — Choraży Gniadosz ją eskortuje.

— My pod opieką rotmistrza. —

— Taka to opieka! — broni się oficer.

— Witaj Jasieniowie! — deklamuje Zaremba.

Gwałt taki, jakby cały szwadron amazońki się zwałił. — Panna Marysia głowę traci, wita gości, szuka oczami powozu, czyżby naprawdę — on — nie przyjechał?!

Powóz zajeżdża — jego ani śladu. „Niegodny pamięci“.

— Chce pani wiedzieć, co się dzieje z Oskierką? — Pilnuje pod

Warszawą szwadronu. — My tu na dwudniowym urlopie, jutro wyjeżdżamy z powrotem, a pojutrze — na front, hej za siódmą rzekę! — woła głośno Zaremba.

— Jak się on ożywił — nigdy takim nie był — i bodaj — wyładniał, do twarzy mu w mundurze, wąsiska mniej rażą przy szabli... ale czemu to nie tamten?!

Wtarabaniło się całe towarzystwo na ganek, z ganka do jadalni. Znów powitania! Dites donc! Vous voila! — woła Francuzka, ale również szuka kogoś oczyma... Pan Karol informuje się skwapliwie:

— Panowie po konie?!

— Ale gdzie tam — z powitaniem i pożegnaniem — w drodze na front!

Pani Jasieńska, aż się przeżegnała z przestrachu:

— Na front?! Pod kule. Przecie wojna się już kończy! A wy ją znów chcecie rozpalić?!

Panu Zarembie nie w smak poszło wspomnienie o grożącym pokoju. Chciał bohatera udawać, a tu jak na złość dzienniki o jakimś głupim zawieszeniu broni pisały.

— Ho! — hi! Do pokoju dalej, jak do początku wojny! — mówił z powagą młodego sztabowca.

— Czyż naprawdę?! — martwiła się pani Jasieńska. — Słyszysz Loluśiu, co oni mówią?!

— Oni lepiej wiedzą od nas — Ja zaraz to przepowiadałam...

Ale świergot panieński przerwał jej wywody. Panny Załęskie znów jedna przez drugą zaczęły opowiadać, jak to było z porwaniem na bryczkę.

— Matusia się z początku wzbraniała — ale teraz rada. — Prawda, że rada?

Choraży Gniadosz jest zdania, że rozmowa na głodno staje się uciążliwą. Od bawienia matki w powozie gardło mu wyszło, niczem buty suszone na piecu... Pan Karol podchwycił widać jego wzrok biegnący do bufetu, bo rozpoczął mu się żałośnie zwierzać z trudności aprowizacyjnych: wybrały wszystko i coś jeszcze ponadto... Gdyby mieć tak swoje własne wojsko — owo by broniło... dla armii własnej znalazłoby się jeszcze dość jedzenia i picia...

— Oj! to — to — picia! — wtóruje mu w myśl Gniadosz.

Rotmistrz Ostrowski emabluje pannie:

— Tyle razy wspominałem Jasieniów — pół roku trzeba było czekać...

Ale panna Marysia słucha go tylko jednym uchem. Patrzy bokiem na Zarembę i nie poznaje go prawie. Ani się do niej jeszcze nie przysu-

wał — ledwo raczył się gwarnie przywitać — i to jest jej błędny rycerz?

Cały roześmiany przekomarza się z sąsiadkami, coś im wesołego mówi, bo panny udają, że się czerwienią. I to kto?! Ten pocziwy, nudny pan Michał?! — Ależ ta służba w wojsku chyba cuda czyni... Złość ją nawet bierze: — to pewno była jego intryga, że porucznik Oskierka przy szwadronie pozostał — mógł w takim razie i własnej jazdy sobie oszczędzić, nie wiadomo, po co tłukł się tyle wiorst... na to... chyba, że do panien Załęskich zatęsknił... A niechże sobie teraz ich serca zdobywa, choćby obu naraz...

A tymczasem rotmistrz Ostrowski prowadzi dalej swoje opowiadania:

— Pół roku już minęło, odkąd byliśmy tu raz ostatni — ciężkie, gorzkie pół roku. Zmarnowały się nasze siły, energia cała prysła, zapal przeminął, w lotnym piasku przyszło nam utknąć. — Dobrze, że choć teraz odchodzimy na front — tam lepiej będzie końca wojny doczekać...

Ale panna Marysia słabo orientuje się w sytuacjach, nie bardzo rozumie gorycz płynącą z tych słów, stara się rotmistrza pocieszać, wreszcie idzie zająć się kolacją.

Dokończenie nastąpi.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

70

Romek zatoczył się tak, że ani spostrzegł, kiedy padł na łóżko. Chciał krzyczeć: Ratunku! Lecz w gardle go dusiło; zerwał z siebie kołnierzyk i krawat; otarł sobie oczy. Powstał z łóżka; wypił duszkiem szklankę wody; drugą wylał sobie na głowę.

— Nie, nie! To nie zmęczenie po podróży; to nie halucynacja!

Przeczytał drugi anonim. Pozbiegał rozsypane kartki arkusików. Badał charakter listów. Pismo Ireny! Nie podlegało to żadnej wątpliwości...

Przeczytał kilka wierszy tej bezwstydnego erotomańskiej ohydy. Robactwo myśli wgryzło mu się w mózg. Szatani kreśliли mu w imaginacji jakieś piekielne sceny. I naraz bezsilny zawył, wydzierając sobie włosy ze swojej czupryny.

Miał ochotę bić głową o ścianę. I począł saczyć w siebie, jak truciznę, po kropelce wszystkie jej listy. Cios zbyt silny. Był pewny, że większego bólu nikt już zaznać w życiu nie mógł. Ból po nad siły, większy, niż piersi jego były wstanie pomieścić...

Przeczuwał przecież, że spotka go dziś po powrocie do domu jakieś nieszczęście, jak ongi, kiedy po powrocie z Jędrzejewic — zastał wiadomość o śmierci matki.

Tak. Lecz ten dzisiejszy ból jest jeszcze stokroć gorszy. Tamten był bólem szlachetnym, a to — choroba, cuchnąca wstrętną wonią zgnilizny. Kara zbyt okrutna za wszystkie winy, jakie popełnił: Za zbyt wielkie uczucie dla kobiety, które właściwie jest przecież tylko wdzięcznością za egoistyczną rozkosz własnego ciała.

Rzucił się na łóżko, wijąc się w cierpieniach, wymachując nieprzytomnie rękami, wyrzucając ze skrzywionych i oślinionych konwulsyjnie ust dźwięki szaleńca.

W uszach mu brzmiały wycytane cyniczne oświadczenia miłosne zdeprawowanej histeryczki.

To ona, ta królowa, dla której nie wahał się popełnić zbrodni kazirodztwa... Te słowa, jakich nie słyszał nigdy z ust pozbawionej wstydu ostatniej kokoty...

Zerwał się z łóżka; począł biedzić po pokoju.

— Cios bardzo ciężki; ale to przejdzie, to musi przejść... Ona nie warta nawet mego wspomnienia. Taką pomyłką, taką straszną pomyłką...

Począł znowu wczytywać się w kartki jej listów, które latały mu przed oczami w jego dygocących rękach, a zęby dzwoniły, jak gdyby miał w ustach gutaperkowe szczęki wprawiane.

Przypominał sobie pierwsze spotkanie na rogu Agrikoli. I kłamstwo, z jakim tłumaczyła się mężowi, iż spotkanie to miało miejsce w Alejach Ujazdowskich w powrocie od baronowej. Ha, ha!

A baronowa mieszka w Alejach znacznie bliżej miasta! Zresztą prawda! Tłumaczyła się przed nim inaczej, niż przed mężem: Oto wracała od biednej wdowy z sześciorgiem dzieci! Takie pospolite, wulgarne kłamstwo!

— Cóż za straszną pomyłką! Cóż za straszne bankructwo! Ołtarz — splugawiony! Finita la comedia — zadecydował wreszcie.

I ani spostrzegł, kiedy, rzuciwszy się na krzesło, wybuchnął naraz hamowanym, spazmatycznym płaczem, zawodząc dziecinnie rozdzierającym głosem:

— Ireno! Czemużeś to uczyniła? Co mam teraz czynić? Ireno! Przecież ja bez ciebie żyć nie mogę!

Lecz płacz ten nie przyniósł mu żadnej ulgi. Poczuł w sobie działanie wsiąkniętej z lubieżnych listów trucizny, pod której wpływem wpadł w chorobliwy trans halucynacji.

I oto przed załzawionemi jego, zmęczonemi oczami wypływała w niebieskich oparach *ona* w całej potęgze swoich harmonijnych kształtów, o miękkich zaokrągleniach, drażniących żądzą zmysły prawie aż do bólu... Z tym cudnie piekielnym zapachem swoich jedwabistych włosów o woni czarownych nieznanych kwiatów; z białością ciała o blasku prawie, jak z masy perłowej; o wilgotnych, ciepłych wargach, posiadających smak wonnego, słodkiego owocu!

W głowie mu zahuczało. Zerwał się z krzesła.

— Nie można żyć na rumowiskach — zdecydował jak najszybciej mimowoli.

I naraz potem, nagie myśli jego, jakby zmęczone nadmiarem szczerości, uczyniwszy jakieś salto-montale — zaczęły mu błagować szlachetnie w żywe oczy:

— Trzeba coś zdziałać. To się tak nie skończy — kabotynizowały mu myśli z jakąś inną logiką. — Tak tej sprawy zostawić nie można. Nie chodzi o mnie. Dla mnie ona już istnieć przestała. Teraz chodzi tu wyłącznie o honor brata, o honor całej rodziny.

— Hi, hi! — nie słyszał śmiechu figlujących dokoła szataników.

— Takich płam w naszej rodzinie jeszcze nie było. Ja tego lotra, oddającego swoim kokotom listy, kompromitujące kobiety z uczciwych rodzin — wynaleźć muszę. Zda mi sprawę ze wszystkiego. Zabiję albo go. A może nie tylko jego jednego...

Wyjął rewolwer z szuflady; schował do kieszeni surduta. Włożył kapelusz na głowę i wybiegł na ulicę.

XXXII.

Horski z Ireną kończył w „małej jadalni” zaimprovizowaną kolację, którą służba, wobec nieoczekiwanego dziś powrotu ze wsi jaśnie państwa — pośpiesznie skłeciła — kiedy służący wniósł list na tacy, adresowany do jaśnie pana.

— Kiedy was oduczę — irytowała się Irena — od zwyczaju przeska-

dzania podczas jedzenia? Proszę położyć ten list na biurku w gabinecie.

— Kto przyniósł ten list? — badał od niechcenia Horski.

— Jakaś dama z czerwonymi piórami na kapeluszu. Zdaje się — cudzoziemka, z neseserem podróżnym w ręku. Widziałem, że wsiadała do dorożki z kuframi na koźle. Ruszyli w stronę dworca kolejowego.

— Cudzoziemka z czerwonymi piórami? Nie rozumiem — wzruszył Horski ramionami.

— Zaspokoisz swoją ciekawość po kolacji — niecierpliwiła się Irena.

Po wieczery siedziała samotna w swoich pięknych negliżowych koronkach w ulubionym białym saloniku z akwafortami Chardina, Corota, Renoira i Delacroix w półmroku przyćmionej holenderskim abażurem lampy elektrycznej, umieszczonej w olbrzymim japońskim wazonie, w powodź poduszek, skór niedźwiedzych, parawanów i bibelotów.

W drzwiach stanął Horski. Był blady, jak kreda; może wskutek sztucznych refleksów światła, przyćmionych abażurami? W trzęsących się rękach trzymał list rozpieczętowany.

— Cóż ciekawego wyczytałeś w tym liście? — ziewnęła, polerując paznogie.

— Wyobraź sobie — mówił, białym, nie swoim głosem — że to był anonim, którego nie doczytałem do końca, z jakąś paczką listów o podrobionym najwidoczniej charakterze twego pisma. Rzecz prosta! Nie czytałem tych bredni; zwracam ci, abyś je zniszczyła. Oto są.

Irena rzuciła okiem na swoje piśmo i poczerwieniała, jak piwonja, uczuwszy silny ból około serca, ból, trwający nie dłużej, jak sekundę, syknęła:

— Ach! Cóż za podłość! — zgłębiła w nerwowej dłoni paczkę listów prawie na miazgę, bardzo grzecznie kiwnęła mężowi głową: Dziękuję. I rzuciła listy w ogień kominka.

Małżonkowie spojrzeli sobie w oczy, chcąc przeniknąć wzajemnie na wskroś *jardin secret* każdego z osobna.

I przeszywali się, jak sędziowie śledczy — spragnieni przedrzeć tę wieczną zasłonę, tę nęcącą aż do bólu nieroztrzygniętą zagadkę każdej jaźni, jaką pozostają dla siebie nawet najbliżsi.

Wreszcie kwitując z daremnego wysiłku, opuściła oczy. Pojęli, że nie tylko kochankowie, lecz nawet rodzice, bracia — poza życiową komunikacją, lub mniej, lub więcej kłam-

liwą komedią — pozostają do grobu sfinksami. A każdy człowiek z osobna tuła się wśród najbliższych sam, ze swymi ukrytymi myślami i tajemniczym sanktuarium własnego życia wewnętrznego.

Irena zdołała jednak odgadnąć w oczach Horskiego hańbę, do której żaden ze zdradzonych mężów nie przyznaje się: Oto on wie, jaką ona jest podłą, lecz decyduje się nadal udawać ślepego głupca!

Człowiek godzi się w życiu na tyle podłości!

— Trudno ustawicznie łamać krzesła, wydierać sobie włosy, awanturować się. Cóż za cel? Rozwodzić się z nią i żenić z inną po raz trzeci? Piękniejszej kobiety i miłszej niema na świecie. Zresztą gdzie pewność, że inne brzydsze nie zdradzają? I zostać w tym pustym domu samym do końca życia? I wrócić do Felki? Nie, nigdy, przenigdy!

Prosi Boga o jedno; aby ona uwierzyła mu, iż on w ten anonim nie wierzy. Spojrzał w sarkastyczne jej oczy: Nie! Nawet tej pociechy w ukrytych jego pragnieniach losy mu nie zesłały!

Służący meldował im wizytę Romka.

— Co? Oszałał? O tej godzinie? Powiedz panu Romanowi, że kładziemy się już spać.

— Nie! — zaintrygowała się Irena. — Obrazę się. Musiało mu coś wydarzyć się w drodze. — Proś pana! — przycisnęła guzik elektryczny, aby lepiej oświetlić mały salon.

— Poco? — sprzeciwił się Horski, gasząc obfitość zbytecznych lamp dla tak pośledniego gościa.

Romek, zupełnie nieprzytomny, z rozwianym w nieładzie włosom, bez kołnierzyka i krawata, zataczając się prawie, wpadł do pięknego, błogiego, zacisznego salonu o harmonijnie białych abażurach, haftowanych poduszkach i cudnych akwafortach Chardina, Corota i Renoira.

Miał pianę na ustach i jakiś nerwowy skurcz wykrzywił mu wargi.

— Jak ty wyglądasz? Bez krawata? Co się stało? — badał go zimno Horski.

— Otrzymałem anonimową paczkę listów miłosnych twojej żony, pisanych do pewnego oficera — wyrzucił z drżących nerwowo, — wykrzywionych ust, z pijanym ruchem rąk, jakby szukających powietrza.

— Ha! — zaśmiała się ironicznie Irena. — Zapewne z tej samej fabryki, z której otrzymał w tej chwili i mój mąż!

— To są listy autentyczne — zdecydował Romek głosem człowieka,

który nie ma już nic do stracenia. — Spotkałem panią na ulicy Agrikoli, kiedyś powracała z nocnej schadzki od niego, symulując przed mężem, żeś przepędziła ten czas u baronowej Sylwii.

— Ach! Podły! — wzdrygnęła się. — Podły!

— Nie mogę być współnikiem tej hańby. Teraz wracam od niego. Niestety, wyjechał z Warszawy. Lecz ja go wynaleźć muszę. Nie ścierpię plamy, która spadła na moją rodzinę.

Horski z wtuloną w dłoń twarzą dyszał piersiami, jak miechem — wsunięty w jakimś fotelu.

Irena miała dosyć już tych żakowskich wybryków. Powstała z siedzenia. I wyniosła i dumna, znowuż, jak królowa, której nie wypada podejmować się małej gry bez stawek i hazardu — syknęła:

— Jakim prawem ośmielasz się pan wchodzić o tak niezwyklej porze i w takim stroju do mego salonu? Jakim prawem denuncjujesz mnie pan przed mężem, jak ostatni szantażysta? — uniosła się dźwiękiem własnych słów, tracąc królewski spokój, z zupełną zaturą poczucia konsekwencji swego wybuchu. — Jakiem prawem? — powtórzyła z marsem na czole, zła i odważna. — Milczysz pan? A więc teraz z kolej wyjdę i ja z moimi kartami i wyjawię prawdę, nie bardzo zaszczytną dla honoru tego pana. Tu nie chodziło wcale o zmycie plamy rodzinnej. Lecz temu panu raczyła wpaść w oko moja uroda, piękność żony przyrodniego brata! Ha! ha! Obrońca honoru rodziny! Ha, ha!

Romek zawył z bólu. Miał uczucie, że kruki żrą mu serce, że głowę mu oedrmano od tułowia, że z pod nóg usunęła się ziemia. Z chaosu pieniącego się mózgu — wydostawała się jedyna myśl:

— Ostatnia stawka życia — stracona!

— Ta podróż do Jędrzejewic opłacała mu się... Mógł wreszcie nasycić się zemstą na bracie, którego od urodzenia nienawidził.

Wyjęła z podróżnej torebki szalony list, otrzymany dziś nad ranem w Jędrzejewicach od oszołomionego szczęściem kochanka, i wręczyła ten list od Romka mężowi.

— Tu l'as voulu Georges Dandin! Może rozpoznasz pismo tego pana — zwróciła się do męża, — który nie wierzy w podrabianie autografów. Po znałeś?

Horski odczytywał list Romka.

Zdała z kąta w półcieniu, w jakim ginał cały salon, przerażona I-

rena ujrzała skierowaną ku niej lufę rewolweru, który — Romek, jakiś wyolbrzymiały w mroku i w mgłach, wyciągnął z kieszeni.

A potem nieprzytomna, jakby w przykrym śnie — słyszała najwyraźniej jego niezrozumiałe słowa, które padły w półmrok pokoju:

— Nie, nie! Nie, jak stryj Franek! Nie dam się „temu drugiemu!“

I zwrócił lufę rewolweru w kierunku do siebie.

Horski, oddychając, jak miechem,

siedział z głową zwałoną na kant stołika. I Irena, przeczuwając w swoim transie, iż stanie się w tej chwili coś niezwykle strasznego, nie zdając sobie sprawy, czy ten nastrój trwa od sekundy, czy też całe wieki istnienia — usłyszała naraz, jak zdała, z kąta pokoju rozległ się wystrzał, jakby małej zabawki dziecięcej. Ktoś runął z hukiem na podłogę.

— Jezus Maria! — chwyciła się za głowę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Eleonora Glyn.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W SIECI Z RÓŻ.

10

POWIEŚĆ.

Jakże mało wiemy o potędze dźwięków! Jak mało wiemy o tych mocarnych prądach, które tak silnie oddziałują na świat i ludzkie życie.

Niemą sztuki, któraby tak bezpośrednio przemawiała do zmysłów, jak muzyka. Kto wie, czy grecką myt o Orfeuszu i jego lutni był wogóle mytem; może Orfeusz posiadał tajemniczą wiedzę tej wielkiej potęgi. Może jaki uczony psycholog wyjaśni nam kiedy, czemu pewne akordy wywołują pewne wrażenia i budzą niskie lub podniosłe uczucia w ludzkich duszach.

Muzyka cyganów miała w sobie coś niewątpliwie szatańskiego i Tamara nie dziwiła się dzikiemu blaskowi oczu księcia Miłosławskiego, skoro ona sama, tak przykładnie wychowana Angielka czuła przyspieszone bicie tętna.

Po jakiejś godzinie muzyki dwie młode cyganki zaczęły tańczyć. Nie były to owe szalone skoki i łamańce, które tak zgorszyły panią Hardcastle na parowcu, ale rodzaj zawrotnego walca z ciąglem podnoszeniem się i opadaniem ramion, co przypominało trzepotanie ptasich skrzydeł. Zdawać się mogło, że jedynie te ramiona tańczyą.

Około trzeciej cała banda opuściła pokój, aby się posilić i odpocząć. Atmosfera była przesycona dymem i rozgrzana do najwyższego stopnia. Ktoś siadł do pianina i towarzystwo zaczęło tańczyć, nie znany Tamarze taniec, zapewne polkę mazurkę — ona zaś sama znalazła się wnet w objęciach swego księcia.

Walcowali pod takt, bo oczywiście Tamara nie umiała wykonywać właściwych pas, a księżę wciąż szep-

tał jej pieszczotliwym głosem jakieś rosyjskie słowa. Nie rozumiejąc ich, nie mogła go skarcić, choć zapewne zasługiwał na to.

— *Duszka!* — rzekł wreszcie. — Obudziłaś się więc; nie bawarka płynie w twoich żyłach. Przez Boga! nauczę cię żyć!

I Tamara nie gniewała się; czuła jedynie jakieś niepojęte, rozkoszne podniecenie.

Amatorski grajek przestał grać; inny go zastąpił, ale na szczęście urok przysł i Tamara mogła się opamiętać i powrócić na bezpieczne tory.

— Jestem zmęczoną — rzekła, gdy księżę chciał tańczyć w dalszym ciągu — i duszę się prawie z braku powietrza.

Otworzył więc okno i na chwilę zostawił ją w spokoju.

Teraz ktoś inny poprosił ją do tańca, a ona szybko przechodziła z rąk do rąk, by uniknąć zbyt częstego zetknięcia się z księciem. Ale za każdym razem, gdy ją objął, rozkoszne drżenie wstrząsało nią od stóp do głów.

— Myślę, że bawisz się dobrze, drogie dziecko — rzekła jej matka chrestna. To czystorosyjska zabawa; nie zobaczysz tego w żadnym innym kraju.

I w istocie Tamara czuła się szczęśliwą i upojoną, pomimo nurtującego ją niepokoju i rozdrażnienia.

Usiadła nareszcie obok Olgi Glebow, aby odpocząć i obie przypatrywały się wirującym w dalszym ciągu parom. Księżę tańczył z księżną Szebanow, której śliczna twarzyczka zwracała się ku niemu z uśmiechem uwielbienia.

— Biedna Tatjana! — szepnęła hrabina Olga.

Gdy cyganie wrócili, śpiewy ich stały się jeszcze dziksze i przenikające do szpiku kości.

Książę usiadł obok Tamary na sofie i raz po raz pochylał się, by wziąć migdał z półmiska lub zapalić papierosa, tak, że dotykał ją niby nie chcący, ale mimo to świadomie. Ja zaś przenikało to samo nowe, upajające uczucie i biedaczka, prostując swą wiotką kibić, starała się być sztywną i surową, ale bezskutecznie.

Było już dobrze po piątej, gdy zaczęto myśleć o powrocie. Cygańska banda, skłoniwszy się, podążyła na inne zamówienie.

— Śpiewają całą noc i śpią cały dzień — rzekł hrabia Glebow do Tamary, gdy zstępowali ze schodów. W tej porze roku nie widzą nigdy dziennego światła, chyba czasem o świcie.

— *Tantine!* — rzekł książę — odeślij proszę swój samochód. Pośląłem po moją trójkę. Musimy pokazać pani Lorraine, jak to się jeździ sanna.

I księżna zgodziła się.

Och! jakaż to była cudowna przejażdżka, gdy wihrem pomknęli po śniegu! Otulone futrami Tamara i jej matka chrestna nie czuły zimna, a Kola, ten szalony książę, siedział naprzeciwko nich z błyszczącymi jak żuźle oczyma.

Po pewnym czasie przystanęli i patrzyli chwilę na zatokę Finlandzką, błyszczące nad nią miriady gwiazd i wschodzący księżyc.

Była siódma, gdy Tamara znalazła się wreszcie w swojej sypialni. Takim było jej pierwsze zetknięcie się z tą krainą Północy.

IX.

Sześć dni minęło, a książę się nie pokazywał. Czy był zajęty, czy z umysłu trzymał się zdaleka, tego Tamara wiedzieć nie mogła, ale na myśl o nim ogarniało ją coraz większe rozdrażnienie.

— Muszę koniecznie tak urządzić, żebyś mogła zobaczyć ceremonię błogosławieństwa wód w Carskim Siole 6-go stycznia naszego stylu — rzekła księżna do Tamary w parę dni po zabawie w kawiarni. — Ja to już tak często widziałam i nie mam ochoty stać na zimnie, ale mąż Soni jest jednym z adjutantów i jak wiesz, mieszkają w Carskim Siole. Olga jedzie i zabierze cię z sobą, i będziecie mogły wszystkie trzy wziąć udział w tej uroczystości, która cię niewątpliwie zajmie.

Tamara zgodziła się chętnie.

Gdy po półgodzinnej jeździe koleją wysiadła w Carskim Siole, to zbiorowisko drewnianych willi, okrytych teraz śniegiem, uderzyło ją swoim oryginalnym wyglądem. Wraz z hrabiną Olgą udały się obie do domu księżnej Soni, a stamtąd na pałacowe terytorium, gdzie wznosiła się mała świątynia w pobliżu jeziora, i gdzie im pozwolono stanąć przed kordonem kozaków, by patrzeć na mającą nadejść procesję.

Niebo było ołowiane, ciężkie i śnieg wnet zaczął padać. Na tem białem tle świetne, szkarłatne uniformy gwardji odcinały się jaskrawie. Widok tych w długie szeregi wyciągniętych wojskowych był istotnie imponujący. Wszyscy byli brodaci, bardzo wysokiego wzrostu i smukli, o wciętych jak u dziewczyny stanach. I nagle u samego końca szeregu Tamara zobaczyła księcia. Rozmawiał z innymi oficerami i zdawał się ich nie widzieć. Tamara była zła na siebie, że ją widok jego tak poruszył. Procesja przestała ją obchodzić; cała jej uwaga skupiła się na jednej, szkarłatnej postaci.

Skoro tylko dano znak, że cesarz wyruszył z pałacu, wszystkie głowy się odkryły, odkryły przy temperaturze kilku stopniowego mrozu i przy gęsto padającym śniegu. Oficerem komenderującym był książę i Tamara mogła przyjrzeć mu się dokładnie, gdy stał nieruchomy z twarzą surową i skupioną, jak twarz posagu. Na służbie był to widocznie inny zgoła człowiek, niż szalony Kola z cygańskich kolacyjek. Ale Tamara nie mogła zaprzeczyć, że w tej czy innej pozie był zawsze jednakowo pociągającym.

W miarę jak procesja zbliżała się, młoda Angielka śledziła ją ze wzrastającym zajęciem! Co za szczególny naród! tak pełen przesądów, a jednocześnie tak rozsądny. Było rzeczą prawie nie do uwierzenia, żeby dorośli ludzie z takim przejęciem mogli brać udział w równie naiwnej ceremonii.

Naprzód szli ministrowie w grubych pelerynach na szkarłatnych sukniach; potem śpiewacy, za nimi popi we wspaniałych, od złota i srebra kapiących dalmatykach, wreszcie cesarz sam z gołą głową. Za nim postępowali wielcy książęta, sztandary wszystkich regimentów gwardji i na ostatku adjutanci.

Gdy cesarz przeszedł, Tamara spojrzała znów na księcia. Twarz jego nie była już skamieniała; wyraz bezgranicznego uwielbienia malował się na niej. Widocznie ta dziwna dusza musiała płonąć wielką miłością

dla swego władcy. Gdy ostatnia postać pochodu zniknęła za węglem świątyni, Kola spojrział w stronę stojących nieopodal pań i uśmiechnął się.

— Przyjdę na kawę po lunchu, Soniu — zawołał. — Obiecałem Maniusi.

— Czy im nie zimno — zapytała Tamara, patrząc na wygolone prawie głowy kozaków. — I stoją bez płaszców. Biedacy! jakże oni mogą wytrzymać.

— Są przyzwyczajeni i na szczescie nie jest dziś zimno — odparła hrabina Olga. — Gdyby był silny mróz, byłiby w futrach. Prawda, jacy to wspaniali mężczyźni? Lubię ich w tym szkarłatnym stroju: noszą go tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdy towarzyszą cesarzowi, na dworskich balach i w galowe święta. Cieszę się, że pani zobaczyła Kola w tym stroju.

Tamara nie rzekła tutaj, że już raz widziała księcia tak ubranego. Wogóle nikt z jej nowych, petersburskich znajomych nie wiedział o ich poznanii się w Egipcie.

Przez cały ten czas strzelano z armat i po ceremonii zanurzenia krzyża w wodę, procesja ruszyła z powrotem tym samym porządkiem ku pałacowi, a gdy przeszła, nasze trzy panie zziębnięte do szpiku kości, podążyły spieszenie ku czekającym na nie sankom.

W dziesięć minut po skończonym lunchu, gdy piły kawę w ślicznym salonie księżny Soni, jasnym i przytulnym, jak w angielskiej, wiejskiej willi—dał się słyszeć hałas na korytarzu i wszedł książę, miosąc na rękę wąż dziewczynkę trzymającą w ramionach szczudło. Obok postępował dziarski, ośmioletni chłopczyk.

— Spotkaliśmy się w hallu, moja przyjaciółeczka Maniusia i ja — rzekł książę, całując w rękę księżną Sonię, a potem tamte dwie panie, — i mamy sobie dużo do powiedzenia.

— To są moje dzieci, pani Lorraine — rzekła księżna Sonia — posłałam właśnie po nie, by je pani przedstawić, ale teraz, gdy mają Kola, już o nas dbać nie będą.

I zaśmiała się radosnym śmiechem szczęśliwej matki. Chłopczyk zbliżył się i bardzo układnie pocałował Tamara w rękę.

— Pani jest Angielką — rzekł bez najłżejszego akcentu. — Czy pani ma także chłopczyka?

Dalszy ciąg nastąpi.



Szubienica, Mąka, Zabawa.

Historje Neapolitańskie.

Historja Neapolu, rządzonego przez hiszpańskich wielkorządców, należy do niezwykle ciekawych zjawisk kultury. Odnaleźć można w niej wiele rysów wysoce znamiennych, pouczających i przynoszących starganym nerwom współczesności wiele błogiego ukojenia. Opowiada te dzieje znany historyk Włoch, dr. Kazimierz Chłędowski. Polski inteligentny czytelnik zna jego „Rzym“, „Ferrare“, „Rococco we Włoszech“. We wszystkich tych pracach wykazał Chłędowski zdumiewającą umiejętność gromadzenia charakterystycznych faktów, które rzucają światło właściwe na ludzi i dzieła. Chłędowski interesuje się przytem przeważnie zjawiskami kultury. Umie on doskonale podchwycić objawy szczególnie, specyficzne, nadające ton epoce.

Rządy hiszpańskie zamknął lud neapolitański w powiedzeniu: Forca, Farina, Festini. Obyczajowość zaś epoki świetnie maluje zdanie: „Amora non ebbe mai paura della porpora“. Miłość nie stroni od purpuratów kościoła, a „paniom z arystokratycznego towarzystwa wolno było także zabawiać się w cortegiany“. „Panie z towarzystwa, które miały zaszczyt romansować z wicekrólami, zupełnie się z tem nie kryły, owszem jak np. księżna Conca d'Avalos albo Markiza Compolettaro, szczyciły się tym stosunkiem“ (str. 357).

Wśród tego rodzaju życia kwitła pierwsza opera „Il Nerone“. „W miarę jednak rosnącego zamiłowania do przedstawień teatralnych ze śpiewem mnożyła się liczba kastratów“ str. (394).

O kapucę zakonną Neapol prowadzi krwawą walkę. A wszystko przez drobiazg. Jedni uważali, że powinna być spiczasta, inni zaś obstawali przy okrągłej. Dziś walka ta wygląda na dziecinny spór. Zajmowali się nią jednak papież, ministerja, toczono zapamiętałe walki.

Do rzędu niezwykłych też wiadomości należy fakt, zanotowany przez K. Chłędowskiego o lordzie Nelsonie. Sławę jego wmurował w pamięć ludzkości Trafalgar. Zaczyna się ta sława pod Abukir. Komu ją zawdzięcza? Pięknej pani Emmie Hamilton. Ona to wyjednała u

królowej Karoliny, że Nelson mógł zaprowiantować swoje okręty w Neapolu i puścić się w pogoń za statkami francuskimi. Nelson nazywał tę bitwę — zwycięstwem Emmy.

Podczas rewolucji neapolitańskiej angielski ten bohater nie wyróżniał się wcale humanitaryzmem i wieszał z zimną krwią. Czasy te zresztą nie grzeszyły delikatnością uczuć, choć o nich to właśnie Galiani wypisywał gorące tyrady. Zabić wroga i zjeść go — to wcale nie wyjątek. Neapolitański lazzarone zawsze w ten sposób mścił się na swoim wrogu.

Dziwne tylko, że w czasy tak pierwotne kwitnie równocześnie ciepłarniany kwiat zepsucia zupełnie wyjątkowego. Abbe Galiani propagował przecież wtedy publicznie, co nikogo nie gorszyło, by ze względu na stanowisko cicisbeów, które jest trudne i męczące i nie tak łatwo je piastować, wylosowywano na pierwszego stycznia, u której ze znanych kobiet każdy z cicisbeów ma na rok przyszyły pełnić swą służbę“ (str. 538).

Takie projekty podawał europejskim salonom mistrz Galiani, którego dosadnie scharakteryzował w pamiętnikach Marmontel: „Abbi był najpiękniejszym małym arlekinem, jakiego Włochy wydały, ale na barkach tego arlekina siedziała głowa Macchiavella“.

Chłędowski książkę swoją kończy właśnie ciekawą sylwetą tego arlekina i Macchiavella. Streszcza się w nim bowiem moralność i niemal cała filozofja tego neapolitańskiego świata. Pisał on w r. 1772 do jednej ze swoich paryskich przyjaciółek: „w polityce przypuszczam tylko czysty, niczem nie przyprawiony, surowy Macchiawelizm w całej swej potęgze i sile“.

Historje Neapolitańskie otwiera Chłędowski panowaniem Roberta Andegaweńskiego. Zdobył on tron podstępem. Kazał otruć Karola Martella. Zaufany Franciszkanin dał w hostji Martellowi truciznę (str. 37). Poznaliśmy z epoki tego panowania Petrarke. Następuje królowa Joanna, Boccacio, król Alfons I, Pontano, Sanazaro, Caracciolo, przychodzą „dwie smutne królowe“, Joanna d'Aragona. Julia Gonlaga, dzieje rodu Carafów i zjawia się okres czasów wicekrólewskich. „W niespełna dwa wieki uszczęśliwiał Neapol trzydziestu dziewięciu wicekrólów, a pomimo, że

krótko panowali, każdy z nich wywoził fortunę do rodzinnego kraju“.

Sztuka plastyczna znajduje w Jusepe Ribera swój najdoskonalszy wyraz. Zaczyna się era Karola III Burbona i kończy się państwo neapolitańskie za czasów Marii Karoliny i jej małżonka Ferdynanda IV.

Blisko pięć wieków istnienia ludzkiego zamyka książka K. Chłędowskiego. Na przestrzeni tego czasu panuje takie zdziwienie obyczajów, że współczesność nasza, gromiona przez wszelkiego rodzaju moralistów, jest eldoradem cnoty, umiarkowania i humanitaryzmu.

Wojna rozpętała wszelkie bestialstwo, ale jeszcze nie dochodziły nas wiadomości, by z nienawiści jedzono swoich wrogów. Nie bije się już ludzkość o kapucę. Spokojnie można nawet w czasie wojny przedostać się z kraju do kraju, choć wymaga to straty wiele czasu. Za dawnych neapolitańskich czasów nawet na królewskie kolasy napadali rabusie w podróży i władza monarsza nie gwarantowała bezpieczeństwa.

Książka Chłędowskiego jest arcy ciekawa.

Ludziom myślącym dostarczy wiele rozkoszy. Podaje bowiem w obfitości takie fakty, które silą rzeźczy budzą tysiączne refleksje. I stawa przed oczy splot krwawych, tragicznych dziejów władców Neapolu; wydawało się im, jak i abbé Galianemu, że „polityka tylko wtedy jest dobra, kiedy jest krótka“.

Burza zniosła, jak perzynę, wszystkie ich krótkie a krwawe roszczenia. Pozostał lud neapolitański, lud włoski — odwieczny dziedzic swoich pól. On wbrew wszystkim zawieruchom wytrwał na swej glebie i modlił się do świętych swoich patronów.

Bo wszystko mija — trwa tylko lud, dziedzic sławy i niesławy, niezmożony żywioł indywidualności plebiennej.

Eustachy Czekalski.

